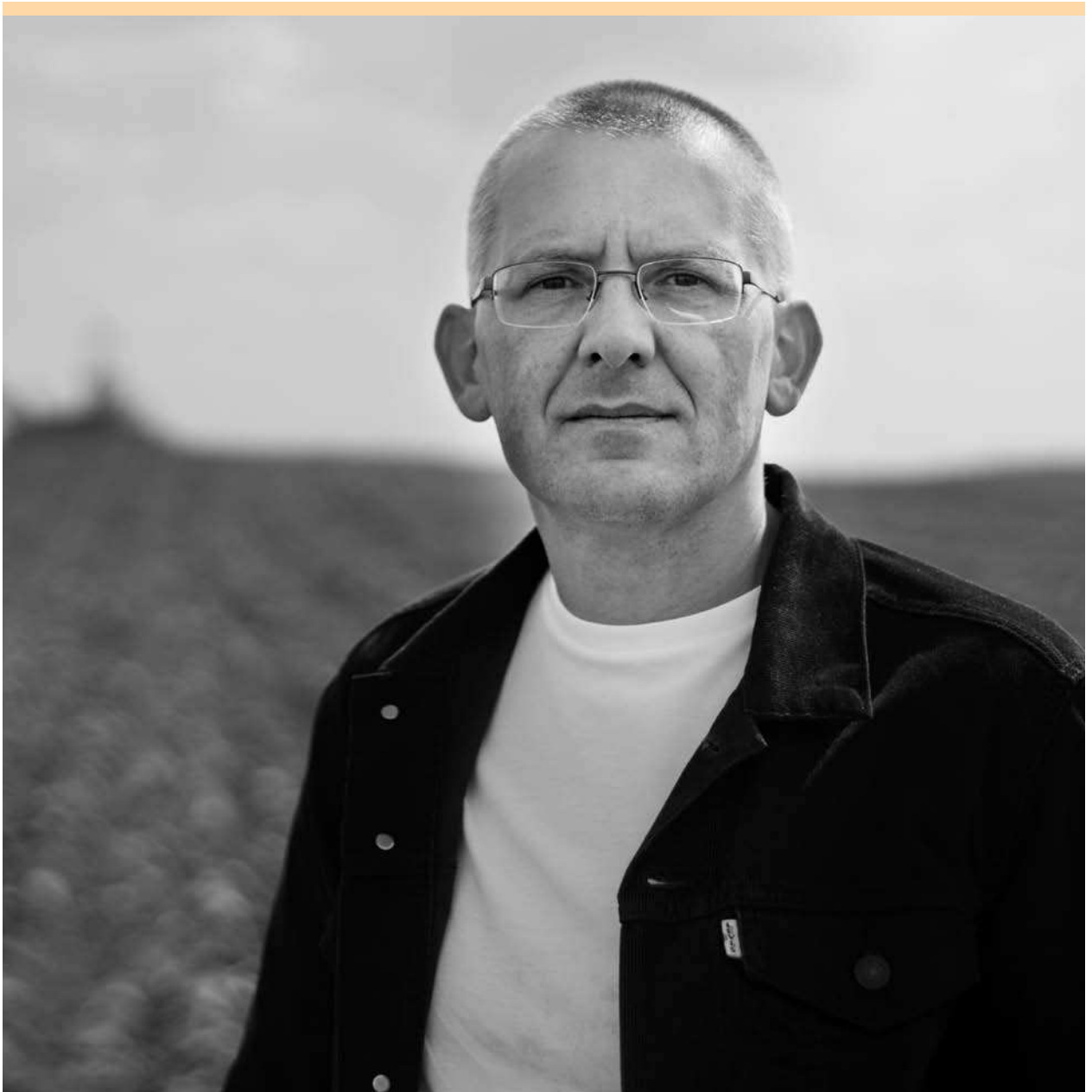


Literatura wobec nicości

Z Arkadiuszem Morawcem rozmawia Sławomir Buryła



Mamy podobne zainteresowania badawcze: totalitaryzm xx wieku. Wielokrotnie pytano mnie przy różnych okazjach, dlaczego się tą tematyką zajmuję. Często odpowiadałem wtedy, że to przez miejsce urodzenia – Zamojszczyznę. A ty?

W moim przypadku trudno jest wskazać jedno źródło. Dwadzieścia lat życia spędziłem w państwie pozbawionym i pozbawiającym wolności. Polska Ludowa eksponowała różne formy opresji – imperializm, kapitalizm, faszyzm – z wyjątkiem własnej. To, co wypierane, przemilczane i tylko niekiedy wyszeptywane, budziło tyleż mój niepokój i niechęć, co fascynację. W połowie lat osiemdziesiątych, gdy uczyłem się w technikum, ogromne wrażenie wywarły na mnie *Folwark zwierzęcy* i *Rok 1984* George’a Orwella, a także *Wspomnienia z domu umarłych*. Wprawdzie utwór Dostojewskiego nie opisuje świata totalitarnego, lecz jedną z instytucji totalnych, którą, wszelako nie bez powodu Gustaw Herling-Grudziński uczynił go zasadniczym punktem odniesienia dla *Innego świata*, zrodzonego z doświadczenia totalitaryzmu. Tę książkę przeczytałem jednak później, podczas studiów. Być może kluczowa dla moich obecnych zainteresowań była wycieczka, jaką odbyłem z rodzicami, mając lat dziesięć, do Oświęcimia. Odłożyła się ona w mojej podświadomości na długo. Z sennych koszmarów wyleczyły mnie, po latach, lektury związane tematycznie ze światem koncentracyjnym. Poznając go, na szczęście tylko pośrednio, dzięki literaturze, jakoś go wreszcie oswoiłem. W każdym razie nieprzyjemne konsekwencje przedwczesnej wycieczki do muzeum przestały mnie dręczyć. Ważna była dla mnie także, wielokrotnie powtarzana, lektura opowiadań obozowych Tadeusza Borowskiego, rewelacyjnych pod względem artystycznym i intelektualnym. Wzmocniła ona moją obawę, że totalitaryzm i masowe zbrodnie mają przed sobą, w przeludniającym się świecie, wspaniałą przyszłość.

Jesteś przykładem badacza – niezbyt częstego nawet w naszym pokoleniu – który niezwykle mocno osadza swoje szkice i książki w kontekście politycznym, społecznym, historycznym. To są mocne podstawy, które pozwalają ci interpretować tekst. Starasz się przy tym trzymać blisko tekstu. To on jest dla ciebie przewodnikiem.

To, że osadzam moje analizy w kontekście historycznym i społeczno-politycznym, wynika w zasadniczej mierze ze specyfiki badanych tekstów, w większości powiązanych tematycznie i problemowo z wydarzeniami kształtującymi bieg dwudziestowiecznej historii. Pisząc o motywie zagłady Ormian w literaturze polskiej czy o wierszach Ewy Lipskiej z okresu stanu wojennego, nie sposób abstrahować od historii. Jako literaturoznawca czuję bliższe pokrewieństwo z historykami niż językoznawcami. Oczywiście szanuję rzemiosło filologiczne i uprawiam je także wtedy, gdy ujmuję literaturę jako formę pamięci historycznej. Moją domeną badawczą jest bowiem to, co Roman Jakobson nazwał przed stu laty literackością, przy czym, wbrew restrykcyjnym zaleceniom tego znakomitego uczonego, pisząc o literaturze, nie waham się „aresztować” – dla potrzeb interpretacji – dyscyplin wiedzy, stanowiących przedmiot zjawisk, o których traktują konkretne utwory. Staram się jednak pozostawać w granicach moich kompetencji: jeśli mam cokolwiek do powiedzenia, to jako literaturoznawca. Trudno być jednak literaturoznawcą i nikim więcej. Literatura, jak żadna inna dziedzina ludzkiej działalności, mówi o wszystkim. W pierwszej kolejności o człowieku, ale też o zwierzętach, grzybach, chorobach, gwiazdozbiorach i kowalskim miechu. Na wszystkim, rzecz jasna, znać się nie sposób. W przypadku tej literatury, którą się zajmuję, niezajomość historycznego, społecznego czy politycznego kontekstu, lekceważenie go lub, co gorsza, manipulowanie nim – co jest

domeną krytyki politycznie zaangażowanej – prowadzi do interpretacyjnych dewiacji. Nawiasem mówiąc, bliski jest mi pogląd, dobitnie wyrażony przez Umberta Eco i Henryka Markiewicza i dyktowany przez zdrowy rozsądek, że wprawdzie nie sposób do wieść prawomocności interpretacji, jednak wciąż posiadamy umiejętność rozpoznania interpretacji błędnej, wadliwej. Potrzebna do tego jest jedynie rzetelna wiedza.

Blżej ci do tradycyjnej filologicznej pracy (co akurat odbieram jako zaletę). Daleko zaś do tak zwanej nowej humanistyki. Co sądzisz o wykorzystaniu narzędzi, jakie daje nowa humanistyka, do mówienia o doświadczeniach jednostki w systemie totalitarnym?

Tak zwana nowa humanistyka jest zjawiskiem dość mglistym – różnorodnym, wieloaspektowym. Trudno nazwać ją metodologią, korzysta bowiem zasadniczo z narzędzi wypracowanych wcześniej, w przypadku literaturoznawstwa zwłaszcza przez strukturalizm. Postrzegam ją raczej jako rozrastający się zbiór ofert badawczych ukierunkowanych na przedmioty czy obszary słabo dotąd obecne w refleksji humanistycznej. Istotne jednak jest to, zapewne nie tylko w przypadku badań nad totalitaryzmem i jego reprezentacjami, żeby studia nad rzeczami czy studia nad zwierzętami nie stały się fetyszem, kolejną intelektualną modą, rodzajem maszynki interpretacyjnej – aby nie przesłoniły nam faktu, że totalitaryzm jest „osiągnięciem” ludzkim, arcyłudzkiem. Ich rola polega między innymi na tym, że przypominają nam i unaocniają, że esencją i zarazem produktem finalnym totalitaryzmu, bez względu na jego barwę, jest reifikacja człowieka, jego eksploatacja, i że odwiedzając miejsca pamięci, mamy do czynienia głównie z rzeczami ocalonymi po nieocalonych, w różny sposób wyrażającymi ich tragiczny los. Z kolei badacze z kręgu *animal studies* wskazują, że różnica pomiędzy Treblinką a ubojnią zwierząt nie jest wcale tak wielka, jak nam się dotąd wydawało. Dzisiaj, po lekturze prac „animalistów” określenie „nowy holokaust”, użyte przez tytułową bohaterkę powieści *Elizabeth Costello* Johna Maxwella Coetzeeego w odniesieniu do tego, co robią ze zwierzętami ludzie, nie wydaje mi się aż tak prowokacyjne jak przed laty, gdy czytałem tę książkę. Inny nurt, jakim jest krytyka feministyczna, wydobywa na jaw specyfikę kobiecego doświadczenia wojny, w jakiejś mierze – a często jest to miara istotna – odmienniego od doświadczenia mężczyzny i odmiennie waloryzowanego, tłumionego przez dyskurs męski, martyrologiczny. Waga nowej humanistyki leży więc w poszerzaniu pola badawczego współczesnej refleksji nad człowiekiem oraz tego, co go, jako człowieka, definiuje; najważniejsze są jednak efekty poznawcze. Bywają one poważne. Bywają też, w konkretnych pracach, mizerne. Dzieje się tak zwłaszcza wtedy, gdy badacz – jest to zwykle młody badacz, miłośnik nowinek z importu, któremu wydaje się, że posiadał receptę na prawdę – zamiast analizować przedmiot, poszukuje w nim nade wszystko potwierdzenia oczywistych, często ideologicznie motywowanych, tez. I znajduje je. Liczne takie przypadki są dziełem wszelkiej maści krytyki zaangażowanej, zarówno prawicowej, jak i lewicowej, choćby feministycznej czy postkolonialnej. Inna rzecz, że postkolonializm dobrze przylega, jako forma poznawcza, do różnorodnych reprezentacji totalitaryzmu i innych form zorganizowanej przemocy. To dzięki badaczom z tego kręgu przypomniał mi się po dziesięcioleciach, że *Jądro ciemności* Josepha Conrada jest nie tylko alegorią – tak czytano tę opowieść przez dziesięciolecia, tak i ja czytałem ją podczas studiów – lecz także, a może przede wszystkim, swoistym reportażem, na pewno zaś utworem interwencyjnym, ujawniającym potworne zbrodnie, jakich dopuszczają się w Afryce Europejczycy pod pozorem oświecania tak zwanych dzikich. Hitlerowski plan

podboju wschodniej Europy przez pozbawioną kolonii Rzeszę Niemiecką wyrastał z podobnych źródeł, co podbój Konga przez Belgów. Rodzimy krytykom postkolonialnym polecam, jako wdzięczny przedmiot badań, utwór Stanisława Grochowiaka *Totentanz in Polen*, w którym w sposób wręcz wzorcowy zostały zderzone ze sobą perspektywy kolonizatora – dziennik niemieckiego żołnierza z września 1939 roku, wzbogacony o szkice, oraz kolonizowanego – Polaków, w których imieniu wypowiada się poeta, ironicznie polemizując z zawartym w notatniku Niemca obrazem wschodniej dziczy.

Lubię twoje podejście do tekstu, w którym interpretacja jest efektem rzetelnych studiów dokumentacyjnych. Wielu współczesnych badaczy jakby zapomina o filologicznej stronie swojej profesji. Prowadzą wywód „mimo” albo „obok” tekstu. Mówiąc inaczej, metodologia nie jest konsekwencją, nie wynika z tekstu, lecz jest siatką, którą badacz narzuca na tekst. Twój szkic o *Medalionach* Zofii Nałkowskiej znakomicie ujawnia pułapki takiego myślenia. Najpierw ustalmy, jak było, a potem możemy budować na tej podstawie refleksję. Właśnie, jak było z nowelami Nałkowskiej? Dokument czy literatura?

Z natury jestem sceptykiem, natomiast jako literaturoznawca – eklektykiem i empirystą. Zabrzmi to może jak przejaw intelektualnego zacofania, twierdzą jednak uparcie, że autorem jednego z najcelniejszych i najwszechstronniejszych, a przy tym – co chcę podkreślić – wciąż aktualnego projektu rzetelnych badań literackich jest pozytywista Gustave Lanson. W pracy *Metoda w historii literatury* wspomina on o takich cnotach, jak bezinteresowna ciekawość, surowa prawość, pracowita cierpliwość, poddanie się faktom, wskazuje na nieustanną potrzebę krytyki, kontroli i sprawdzania, abyśmy, jak powiada, „byli mniej względni dla swoich fantazji i mniej skłonni do pewników”. Lanson uczy nas szacunku dla faktów i nielekceważenia tego, co polscy strukturaliści nazwali świadectwami odbioru, jak również krytycyzmu. Nie dowierzam biografom i bibliografom, nie ufam cytatom „z drugiej ręki”, jestem podejrzliwy wobec analiz i generalizacji, stanowiących potwierdzenie z góry założonej tezy; przekonałem się też, śledząc recepcję literatury, na przykład *Szopy za jaśminami* Tadeusza Nowakowskiego, że historykom literatury zdarza się pisać o utworach, których nie przeczytali. Nie ufam też – podkreślam to z całą mocą – samemu sobie. Tak jak każdy, popełniam błędy. Staram się jednak respektować fakty oraz powątpiewać. Zastanowiło mnie na przykład, skąd w znanym opowiadaniu Nałkowskiej *Człowiek jest mocny* wzięli się Ukraińcy. Wspomina o nich Michał P., były więzień obozu zagłady w Chełmnie, w którym rozpoznajemy Michała Podchlebnika. Ukraińcy zajmują się rewidowaniem trupów, jeden z Ukraińców strzela do uciekającego Michała P. *Medaliony*, których utwór ten stanowi jedno z ogniw, uchodzą za autentyk. Wiadomo, że Ukraińcy byli strażnikami w ośrodkach zagłady utworzonych w ramach Akcji Reinhard – w Bełżcu, Sobiborze, Treblince, a także w niektórych obozach koncentracyjnych. Jednak na temat ich obecności w Chełmnie opracowania historyczne milczą. Gdy zajrzyśmy do protokołu zeznania Podchlebnika, przekonamy się, że słowo „Ukraińcy” opatrzone jest cudzysłowem. Utylizowaniem zwłok zajmowali się w Chełmnie polscy więźniowie z poznańskiego Fortu VII, natomiast w drugim przypadku słowo „Ukraińiec” zostało przekreślone, do Podchlebnika strzelał bowiem niemiecki żołnierz lub żandarm. Do rozstrzygnięcia pozostaje kwestia, dlaczego ocaleni z Chełmna nazywa ich Ukraińcami. Gdyby Nałkowska była wystarczająco dociekliwa – jako pisarka i zwłaszcza jako członek Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce i przewodnicząca jej łódzkiego oddziału, który prowadził

śledztwo w sprawie obozu w Chełmnie, i sumiennie zapoznała się z podlegającą jej dokumentacją – być może opatrzyłaby oba te określenia cudzysłowem, tak jak uczynił to we wspomnianym protokole sędzieja Władysław Bednarz. W każdym razie zdystansowała by się wobec nich. *Medaliony* są jednocześnie literaturą i dokumentem, a w każdym razie są czytane, na pewno nie wbrew intencjom autorki, jako dokument. Lektura dokumentów, z których Nałkowska korzystała, pisząc ten znakomity literacko tom, przekonuje, że wbrew temu, co sądzono, czego jednak nigdy nie zweryfikowano, stanowią one zapis zeznań świadków i rozmów nie we wszystkim wierny. Tymczasem diabeł, jak wiadomo, tkwi w szczegółach.

Twoja dociekliwość i dążenie do ustalenia faktów daje intrygujące efekty. Widać to w szkicu o *Profesorze Spannerze*. Sporo uproszczeń powstało przy okazji tej osoby (a trochę też w związku z nowelą Nałkowskiej). Na czym one polegają? A może też wiesz, skąd się wzięły?

Niedawno byłem na konferencji w Niemczech, poświęconej polskiej, czeskiej i słowackiej literaturze Holocaustu. Wygłosiłem na niej referat dotyczący legendy o produkowaniu w czasie drugiej wojny światowej mydła z ludzkiego tłuszczu. Opowieść o wytwarzaniu z ludzi mydła jest powszechnie znana, natomiast o profesorze Rudolfe Spannerze uczeni z Niemiec, Czech i Słowacji nigdy nie słyszeli. W Polsce znamy tego uczonego doskonale dzięki, wspomnianemu przez ciebie, utworowi Nałkowskiej, będącemu od 1950 roku lekturą szkolną. Jako że Nałkowska była członkiem Komisji Badania Zbrodni Niemieckich, nikt przez dziesięciolecia nie próbował podważać jego zawartości czy choćby krytycznie go przeczytać. Tymczasem w świetle stosunkowo niedawnych ustaleń historyków, Moniki Tomkiewicz i Piotra Semkowa, zdaje się ono opierać na świadectwach wątpliwych lub co najmniej dyskusyjnych. Wcześniej istotne wątpliwości zgłaszał dziennikarz Tadeusz Skutnik. Monografistka Nałkowskiej, Hanna Kirchner, wprawdzie wspomina o nich, jednak je bagatelizuje. Podobnie potraktowała, jako edytorka dzienników pisarki, sceptyczne uwagi Jerzego Kornackiego, zawarte w jego niewydanym diariuszu. Kornacki uczestniczył, wraz z Nałkowską, w śledztwie związanym z „fabryką mydła” profesora Spannera, tyle że w przeciwieństwie do swojej znakomitej koleżanki uznał całą tę sprawę za dziennikarską kaczkę, dzieło żadnego sensacji żurnalisty Stanisława Strąbskiego. Zaniepokoiły go także naciski wywierane na członków Komisji przez Sowietów. Ostatecznie jednak stosowny komunikat, informujący, że niemieccy uczeni popełnili w Gdańsku zbrodnię wyrobu mydła z tłuszczu trupów i przygotowywania skóry ludzkiej dla celów użytkowych, podpisał. Podpisała się pod nim także Nałkowska. Wkrótce zaś napisała wspomniane opowiadanie. O wytipianiu z zamordowanych ludzi tłuszczu na mydło i garbowaniu ich skóry na pergamin wzmiankuje ona też w utworze *Dorośli i dzieci w Oświęcimiu*, ukończonym latem 1945 roku. Pomimo że jesienią tego roku było już wiadomo, że znalezione w gdańskim Instytucie Anatomicznym płyty ludzkiej skóry nie nosiły śladów garbowania ani przygotowania do tego procesu, autorka – będąca nie tylko pisarką, lecz i członkiem komisji śledczej – ten wątpliwy fragment pozostawiła niezmienny. Tom *Medaliony* ukazał się dopiero w grudniu 1946 roku, miała więc czas na korektę. Zaniechała jej, co pozostawiam bez komentarza. Dodam tylko, że władze polskie nigdy nie podjęły starań, aby postawić Spannera w stan oskarżenia, nie wniosły o jego ekstradycję, pomimo że nigdy się on nie ukrywał, nie zmienił nazwiska i pracował jako wykładowca uniwersytecki.

Jesteś autorem opracowań bibliograficzno-dokumentacyjnych. W postaci książkowej ukazały się *Seweryna Szmagłewska*

(1916–1992). *Bibliografia oraz Zofia Romanowiczowa. Pisarka nie tylko emigracyjna*. Taka praca jest żmudna i często niedoceniana, a przecież to bezcenne źródło informacji dla każdego, kto przygotowuje edycję krytyczną dzieł danego autora.

Pierwsze z tych opracowań powstało jako „efekt uboczny” artykułu dotyczącego *Dymów nad Birkenau*. Gdy zajmuję się jakimś utworem lub pisarzem, staram się skompletować i przeczytać wszystko, co na ich temat napisano. Jest to być może przejaw chorobliwej pedanterii, jednak inaczej nie potrafię. Swoją drogą, zdarza mi się znaleźć w krótkiej recenzji więcej celnych rozpoznań niż w obszernym studium, warto więc czytać także drobiazgi. Pisząc wspomniany artykuł, zebrawszy dużo informacji biobibliograficznych, uznałem, że można by, niewielkim już nakładem pracy, sporządzić zestawienie dotyczące życia i twórczości Szmaglewskiej. Szybko tego pomysłu pożałowałem, przekonałem się bowiem, że opracowanie rzetelnej i w założeniu wyczerpującej bibliografii jest niezwykle pracochłonne, zwłaszcza jeżeli zapisy mają być sporządzone, a nie wyobrażam sobie, aby mogło być inaczej, z autopsji. Aby dotrzeć do źródeł trudno dostępnych, odbyłem podróże do kilku bibliotek w kraju. Dzisiaj rzecz jest względnie prosta: liczne czasopisma zdigitalizowano, są dostępne w internecie; nie ruszając się z domu, możemy zamawiać skany. Na jeszcze większe trudności napotkałem, przygotowując monografię Romanowiczowej, pisarki emigracyjnej, recenzowanej w licznych czasopismach zagranicznych. Byłem w Paryżu; wiele tekstów zmuszony byłem przepisywać, gdyż na przykład Biblioteka Narodowa żądała bardzo wysokich opłat za fotografowanie tekstów, bynajmniej niebędących cimelemi, żadnym zaś grantem nie dysponowałem. We współczesnej humanistyce – masz absolutną rację – opracowania dokumentacyjne często są traktowane, pomimo że literaturoznawcy ochoczo po nie sięgają, jako dokonania mniejszego kalibru niż rozprawy o charakterze interpretacyjnym. Te pierwsze wydają się niektórym dziełem uporczywości, te drugie zaś przejawem inwencji, dokonaniem twórczym. Inwencja, owszem, bywa miarą naukowca, jednak jej fundamentem powinna być rzetelność. Swoją przygodę z literaturoznawstwem zaczynałem jako „interpretator”. Dzisiaj wiem, że chyba trudniej być solidnym dokumentalistą, bibliografem czy edytorem.

Mam w pamięci wrażenie, jakie na mnie wywarła *Literatura w lagrze, lager w literaturze*. Poezję, prozę, dramat, materiały wspomnieniowe w języku polskim dopełniałeś dziełami z obszaru anglojęzycznego, niemieckojęzycznego, hiszpańskojęzycznego, rosyjskojęzycznego... Podobnie rzecz wygląda z przywoływanymi przez ciebie publikacjami naukowymi. Jak przebiegała praca nad tą monografią?

Gdy pisałem pierwsze artykuły o literaturze obozowej, poświęcone Primo Leviemu i Marianowi Pankowskiemu, nie planowałem jeszcze monografii. Skądinąd cóż to za monografia, w której brakuje rozdziału poświęconego Borowskiemu? O jego opowiadaniach obozowych napisano dużo i mądrze, ja natomiast – gdy zaświtała mi już w głowie myśl o książce – postanowiłem przyjrzeć się całej „reszcie” – temu, co traktowano jako swoistą antytezę Borowskiego, niemogącą się z nim równać pod względem artystycznym, poznawczym czy intelektualnym. Jednak przede wszystkim zamierałem odnaleźć i prześledzić początki polskiej literatury lagrowej oraz jej, wielorako uwarunkowaną, ewolucję.

Literatura w lagrze, lager w literaturze to fundamentalne opracowanie na temat piśmiennictwa obozowego. To, co zdaje mi się szczególnie istotne, to przesunięcie przez ciebie początków literatury obozowej poza granice wyznaczone przez wybuch

drugiej wojny światowej. Jako integralną część piśmiennictwa lagrowego traktujesz teksty powstałe po 1933 roku, po dojściu Hitlera do władzy, a przed wybuchem wojny.

Okazało się, że pierwsze polskie utwory poświęcone kacetom ukazały się nie w roku 1945, jak często sądzono, ani nawet nie podczas okupacji, lecz już przed wojną. Były to głównie reportaże i wspomnienia. Wyróżnia się wśród nich, opublikowany w 1936 roku, zapis dziennikarskiej wizyty Jerzego Rogowicza w obozie koncentracyjnym w Dachau. Co ciekawe, we wczesnych, okupacyjnych tekstach możemy znaleźć cechy, które zwykle się przypisywać piśmiennictwu Borowskiego, takie jak demitologizowanie polskich więźniów czy nastawienie antymartyrologiczne. Przykładem tego jest wydana w 1942 roku broszura *Oświęcim. Pamiętnik więźnia*, zredagowana przez Halinę Krahelską w oparciu o między innymi ustną relację Władysława Bartoszewskiego, a w każdym razie jej fragmenty.

Swego czasu pozwoliłem sobie wskazać na pewne wątpliwości, jakie budzi twoja definicja literatury lagrowej. Idzie mi o kryterium tematyczne, które przyjmujesz jako najważniejsze przy zakwalifikowaniu danego dzieła jako części literatury obozowej. Jak traktować takie utwory, których akcja rozgrywa się po wojnie, a jednak lager stanowi w nich prymarny punkt odniesienia. Albo jak traktować dzieła takie jak Włodzimierza Odojewskiego nowela *Syzyf, czyli bliski bogom?* Obóz jest tu wpleciony w ramy mitu, paraboli. Podobnie dramaty Ireneusza Iredyńskiego (*Jasełka moderne*).

Pojęcie literatury obozowej wydaje się mieć wyraźnie zakreślone granice. W Polsce najczęściej jest ono odnoszone do utworów, zarówno fikcyjnych, jak i dokumentarnych, których tematem są niemieckie nazistowskie obozy koncentracyjne, obozy pracy przymusowej i obozy śmierci. Utwory traktujące o obozach sowieckich zwykle są określane jako literatura łagrowa. W istocie literatura łagrowa, dotycząca obozów hitlerowskich, oraz łagrowa stanowią całość: literaturę obozową. W tymże nurcie mieszczą się ponadto, czego się nie dostrzega, utwory dotyczące innych obozów koncentracyjnych. Jest wśród nich *Miranda* Wacława Iwaniuka, zawierająca literacko przetworzone wspomnienia z hiszpańskiego frankistowskiego obozu w Miranda de Ebro, a także utwory zawarte w antologii *Bereziacy* oraz opowiadanie *Jaworzno* Sławomira Mrożka, poświęcone obozom polskim – sanacyjnym i komunistycznym. Kryteria inne niż temat – czasu i miejsca powstania utworów oraz ich autorstwa – pozwalają wyodrębnić w literaturze obozowej trzy obszary. Pierwszym jest literatura powstała w obozie. Pomimo że nie zawsze jej tematem jest rzeczywistość obozowa, wydaje się zasadne używanie w stosunku do wszystkich jej dokonań określenia „literatura obozowa”. Drugim obszarem jest literatura powstała poza drutami, tworzona zarówno przez byłych więźniów, jak i przez pisarzy, którzy nie doświadczyli pobytu w obozie. W pierwszym przypadku, gdy autorami są byli więźniowie, wypadałoby mówić o literaturze poobozowej, będącej jednocześnie literaturą o tematyce obozowej, w drugim natomiast w grę powinno wchodzić tylko drugie z tych określeń; mimo to obejmujemy je wszystkie mianem literatury obozowej. Trzecim obszarem jest literatura dotycząca sfer, które określiłem jako „okołoobozowe”. Mieszczą się tutaj utwory podejmujące takie tematy, motywy i zagadnienia, jak los byłego więźnia, obóz dla dipisów, poobozowa trauma, miejsce pamięci po obozie lub ukrywający się obozowi oprawcy. Wykluczenie tego obszaru poza obręb wąsko rozumianej literatury obozowej wzbudziło twoje wątpliwości. Uczyniłem tak w trosce o precyzję. Trudno bowiem w przypadku niektórych

utworów zdecydować, czy obóz i jego konsekwencje są czy nie są ich dominantą tematyczną lub zasadniczym problemem. Przyjmijmy więc, że jest to obszar pograniczny. Inna sprawa, że nowoczesnym wcieleniem piekła, w tym piekła Syzyfa, o którym traktuje wspomniany przez ciebie utwór Odojewskiego, stał się obóz koncentracyjny.

W swej książce ukazywałeś relację zachodzącą między dwoma zjawiskami: prozą lagrową i holokaustową. Powiadasz, że te dwa obszary piśmiennictwa nie tylko zachodzą na siebie, ale i następuje coraz wyraźniejszy proces rugowania tematyki obozowej przez tematykę zagładową. Jak się dokładnie rzeczują?

Jest to kolejny problem związany z definicją literatury obozowej, ale nie tylko z nią. Jakis czas temu okazało się – w każdym razie badacze zachodni często wyrażają taką opinię – że opowiadania Tadeusza Borowskiego, określane w Polsce przez dziesięciolecia mianem obozowych, przynależą do literatury Holocaustu. Jako pisarz Szoa postrzegany jest także, zupełnie słusznie, Primo Levi, włoski Żyd. Zapomina się jednak, że jest on równocześnie, jako były więzień Auschwitz III, czyli obozu w Monowicach, reprezentantem literatury obozowej, i to jednym z najwybitniejszych. Borowski natomiast jest przede wszystkim pisarzem obozowym; pisarzem Holocaustu jest niejako przy okazji – ukazując w niektórych swoich opowiadaniach specyfikę żydowskiego losu w Birkenau. Podstawowym problemem jego najważniejszych utworów jest jednak rzeczywistość koncentracyjna. Źródło tego terminologicznego zamieszania stanowi intensywny na Zachodzie i w Izraelu rozwój badań nad Holocaustem i poświęconą mu literaturą. W obozach zagłady ginęli niemal wyłącznie Żydzi. Żydzi stanowili także znaczny procent więźniów obozów koncentracyjnych, względnie obozów pracy. W badaniach dotyczących zagłady Żydów przedstawiciele innych grup więźniów, podobnie jak mordowani w obozach zagłady Cyganie, zostali zmarginalizowani, a wraz z nimi literatura obozowa. Jeszcze kilka lat temu zdawała się ona tracić jako przedmiot refleksji autonomię, stała się częścią literatury Holocaustu lub czymś w rodzaju przypisu do niej. Teraz to się zmienia. Kiedy dziesięć, dwanaście lat temu pracowałem nad *Literaturą w lagrze...*, prawie nikt w Polsce nie zajmował się literaturą obozową, pisano o niej tylko przygodnie. Jednak w ciągu ostatnich lat powstało wiele ważnych prac dotyczących obozów różnego „autorstwa” i różnego typu, powstaje też coraz więcej książek i artykułów poświęconych literaturze obozowej i jej rozmaitym aspektom. Odróżniamy wreszcie – mam na myśli polskie społeczeństwo – obozy koncentracyjne od obozów (natychmiastowej) zagłady, w których ginęli przede wszystkim Żydzi. Pociuszające jest również to, że na Zachodzie zaczyna się wreszcie dostrzegać, że kategorie Holocaustu i obozu koncentracyjnego nie pokrywają się ze sobą, zachodzą na siebie jedynie częściowo.

Pomówmy o twojej ostatniej książce *Literatura polska wobec ludobójstwa*. Czy nie nawiązuje tytułem i zamysłem do monografii *Literatura polska wobec Zagłady 1939–1968*? Jest to bez wątpienia próba syntezy. W swej syntezie piśmiennictwa obozowego postulowałaś między innymi prowadzenie badań komparatystycznych nad doświadczeniem lagrowym i łagrowym. Widzisz swoją monografię jako zachętę dla innych badaczy, zachętę do dalszych badań. Jaka jest jeszcze praca do wykonania w refleksji nad literaturą polską wobec ludobójstwa?

Dość długo zastanawiałem się, jaki tytuł nadać tej książce. Zdecydowałem się wreszcie uczynić gest, o którym wspominasz. Przy czym miałem na myśli nie tylko fundamentalne opracowanie, które wymieniałeś i którego jesteś współredaktorem i współautorem.

Myślałem też o jego, podobnie zatytułowanej, swoistej zapowiedzi z 2000 roku, zredagowanej przez Alinę Brodzką-Wald, Dorotę Krawczyńską i Jacka Leociaka. Gestem tym chciałem wyrazić ludobójstwo jako fakt wykraczający poza jeden, najlepiej i najbogaciej reprezentowany w literaturze polskiej jego przejaw, jakim jest zagłada Żydów, oraz uwydatnić potrzebę podjęcia szerszych badań – komparatystycznych. Okazuje się bowiem, że literatura polska reagowała także na inne akty nazistowskiego ludobójstwa: zagładę osób psychicznie chorych i upośledzonych czy zagładę Cyganów. Znajdujemy w niej także utwory odnoszące się do eksterminacji Ormian, rzezi wołyńskiej, masakry Muzułmanów w Srebrenicy, ludobójstwa w Rwandzie oraz liczne utwory związane ze zbrodniami popełnionymi przez bolszewików i Związek Sowiecki. Moje opracowanie ma charakter rekonesansu. Do zrobienia jest jeszcze bardzo wiele. Przede wszystkim należy odnaleźć i skatalogować teksty dotyczące różnych przejawów ludobójstwa. Należałoby też ponownie przeczytać utwory dobrze znane, na przykład listy z podróży Henryka Sienkiewicza, w których mowa jest o niecznych postępkach białych kolonizatorów wobec Indian, czarnoskórych mieszkańców Afryki i australijskich Aborygenów. Przypuszczam, że polskie podróżopisarstwo, dawne i nowe, skrywa wiele podobnych wątków. Zapewne zrodzi się z tego niejeden doktorat.

Na stworzenie syntezy tematyki ludobójstwa w powojennym piśmiennictwie, syntezy na wzór *Literatury polskiej w latach II wojny światowej* Jerzego Świącha, jest zatem przedwczesne?

Wymaga to czasu – z powodów, o których wspominałem przed chwilą. Polska literatura Holocaustu, którą zajmuje się wielu badaczy, jest już bardzo dobrze rozpoznana. Biorąc pod uwagę zapewne skromniejszą liczbę utworów traktującą o innych masowych zbrodniach, może się wydawać, że droga do syntezy jest niedługa. To jednak złudzenie. Ażeby powstała synteza polskiej literatury ludobójstwa, potrzebne są najpierw syntezy dotyczące literackich reakcji na poszczególne masowe zbrodnie: rewolucję bolszewicką, rzeź wołyńską czy masakrę Tutsi przez Hutu, do której należałoby dodać wcześniejszą o ponad dwie dekady masakrę Hutu przez Tutsi, wzmiankowaną w *Zagładzie gatunków* Wiktora Woroszyńskiego. **Mówisz w ostatniej swojej książce o konieczności analizy świata obozów w szerokim kontekście kulturowym (np. poprzez szukanie zbieżności między innymi w prozie markiza de Sade, Fiodora Dostojewskiego czy Franza Kafki). Wracasz do postulatu sformułowanego już w monografii *Literatura w lagrze, lager w literaturze*. Tu rodzi się pewna wątpliwość. Chodzi o znaną kwestię, dotyczącą wyjątkowości Szoa. Czy Zagłada jest tylko jednym z przykładów ludobójstwa, czy nie podważa to wyjątkowości Holocaustu?**

Holokaust, zagłada Żydów, nie jest, moim zdaniem, zbrodnią wyjątkową. Nie wierzę w zbrodnie wyjątkowe. Ludzie mordują się nawzajem – w wymiarze masowym – od zawsze. Jestem przeciwnikiem relatywizowania jakichkolwiek zbrodni oraz czynienia z nich politycznego użytku. To, że zagładę Żydów jesteśmy skłonni traktować jako zdarzenie w dziejach niebываłe, wynika w dużej mierze stąd, że dokonała się ona na naszych oczach, w Europie, a także z nieznamośności innych, podobnych aktów, które rozegrały się dawno temu lub w rejonach odległych, a zatem niewiele nas one zajmują. Czy obchodzi nas to, co dzieje się obecnie w Afryce lub Azji? Warto wspomnieć, że jedną z najchętniej czytanych w warszawskim getcie książek była powieść Franza Werfla *Czterdzieści dni Musa Dah*, uznawana za najwybitniejsze, a na pewno najlepiej znane dzieło literackie poświęcone zagładzie Ormian. Dzisiaj, po dokonanej na naszych oczach zagładzie Żydów, mało

to o tym utworze pamięta. Podobnie jak o powieści Nałkowskiej *Choucas*, której istotnym tłem jest dokonany na Ormianach mord, natomiast wszyscy doskonale znamy *Medaliony*. Nie mam natomiast wątpliwości, że to Holocaust, a nie inny akt ludobójstwa, okazał się zdarzeniem radykalnie przekształcającym zachodnią cywilizację, a raczej myślenie o niej.

Jesteś autorem – jak już wspomnieliśmy – opracowań bibliograficzno-dokumentacyjnych dotyczących dzieł i życia Zofii Romanowiczowej. Skąd zainteresowanie prozą Romanowiczowej?

Romanowiczowa zainteresowała mnie najpierw ze względu na podejmowaną w jej twórczości tematykę: doświadczenie obozowe, poobozową traumę, emigrancki los oraz metafizyczne „wycieczki”, ocierające się o herezję, zwłaszcza gnostycyzm. Z pewnością nie jest to pisarka tej miary, co Gombrowicz czy Miłosz, jest jednak autorką interesującą, problematyzującą rzeczywistość, wciąż aktualną – między innymi ze względu na ważką w jej prozie tematykę kobiecą czy emigrancką – oraz dysponującą rzadkim w naszej literaturze zmysłem kompozycji. Jest przy tym w Polsce wciąż niewystarczająco znana, pomimo że przekłady jej powieści spotkały się z niezwykle przychylnym odbiorem na Zachodzie. Jest też ważną postacią emigracji – jako współpracowniczka i zarazem żona Kazimierza Romanowicza, zasłużonego dla kultury polskiej księgarza, wydawcy i właściciela paryskiej Galerii Lambert. Co istotne, przesłedzenie recepcji twórczości Romanowiczowej pozwoliło mi przyjrzeć się funkcjonowaniu polskiej krytyki literackiej, zwłaszcza emigracyjnej, oraz skomplikowanym relacjom łączącym literaturę powstającą na obczyźnie z życiem literackim w kraju, w tym z cenzurą. Emigracyjna krytyka literacka niestety wciąż czeka na swojego monografistę.

Jaki status ma krytyka literacka w twojej aktywności historyka literatury? Od wielu lat publikujesz regularnie recenzje na łamach „Nowych Książek”. Czy twoja działalność krytyczno-literacka nie zrodziła się z potrzeby – daruj słowo – odreagowania na tę przerażającą tematykę, którą od lat się zajmujesz?

Pierwsze recenzje opublikowałem podczas studiów. Nie była to próba odreagowania. Po prostu chciałem się sprawdzić, poddać ocenie, przekonać się, czy i ja potrafię. Natomiast później, gdy uzyskałem patent literaturoznawcy, traktowałem krytykę literacką – choć czuję się raczej recenzentem niż krytykiem – jako sposób na poszerzenie i pogłębienie wiedzy na temat literatury współczesnej – tego, co dzieje się w niej i z nią aktualnie.

Od pewnego czasu krytykiem literackim, filmowym, chyba tylko z wyjątkiem krytyków sztuki, może być niemal każdy. Czy wykształcenie akademickie – jakie ma choćby historyk literatury – jest jeszcze potrzebne? Albo też czy czyni różnicę?

Istotnie, coraz wyraźniej widać – zwłaszcza w internecie – że każdy nie tylko pisać, lecz i publikować może. Ma to wiele zalet, głównie dla piszących. Pozwala zaistnieć, wypowiedzieć się bez stresu, który dręczył zapewne każdego, kto posyłał swoje pierwsze recenzje do redakcji czasopism papierowych. Przyjmą czy nie? Tymczasem internauta nie musi się niczym stresować. Niestety, rozmnożenie się portali, witryn i czasopism elektronicznych, sprzyjając wolności wypowiedzi, przyczynia się zarazem do spadku rangi krytyka literackiego. Pisać, owszem, każdy może, lecz nie każdy powinien, zwłaszcza gdy ma kłopoty ze stylem, ortografią i interpunkcją. Na pewno studia historycznoliterackie nie są konieczne do pisanie o literaturze – bywali przecież znakomici krytycy, jak Tadeusz Boy-Żeleński czy Ostap Ortwin, niemający wykształcenia filologicznego – jednak z całą pewnością w tym nie przeszkadza. Jeśli o mnie

chodzi, w kwestiach, na których się nie znam, staram się nie wypowiadać publicznie. Wolę pytać.

Jak widzisz obecnie rolę krytyki literackiej? W swoich sądach krytycznoliterackich mówisz o brakach warsztatowych, nie boisz się nazywać intelektualnych płycizn autorów. To nie jest coś, co spotyka się z uznaniem w kulturze, w której sztuka jest przede wszystkim formą samorealizacji, samoekspresji, i z tego tytułu nie powinna podlegać ocenom estetycznym.

Moje pierwsze recenzje miały charakter analityczno-interpretacyjny, starałem się unikać w nich wyraźnie formułowanych ocen. Wzięło się to stąd, że jako literaturoznawcę uformowały mnie fenomenologia, rosyjski formalizm, strukturalizm i semiotyka, wykluczające z obszaru nauki wartościowanie (inna rzecz, że fascynowały mnie krytyka psychoanalityczna, archetypowa i mitograficzna oraz hermeneutyka). Pewną rolę odegrał tu również brak kompetencji i obawa, że mógłbym autora skrzywdzić, odmawiając mu talentu lub, co jest nie mniej krzywdzące, wynosząc go, nie mając po temu racji, ponad innych pisarzy. Nabrawszy z czasem przekonania – dzięki lekturom, praktyce recenzenckiej, konfrontowaniu własnych sądów z opiniami cenionych krytyków – że dysponuję w miarę rzetelnym rozeznaniem i smakiem, uznałem, że nie należy unikać sądów. Staram się powstrzymać od złośliwości. Rozumiem, że pisanie, podobnie jak malowanie, szydełkowanie czy górskie wycieczki, bywa formą terapii, nie widzę jednak powodu, abym nie miał się wypowiadać na temat jej efektów. Jeśli ktoś upublicznia swoje dokonania, wystawia się na osąd. Pisząc krytyczną recenzję złej książki, staję się poniekąd ekologiem: chronię las.

Zapytam teraz o książkę, która była u początku twojej drogi naukowej – *Poetyka opowiadań Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Jego opowiadania* – jakkolwiek dotyczą totalitaryzmu, nawet dość często – nie są przecież skoncentrowane na tym problemie.

Do Herlinga-Grudzińskiego powróciłem, przygodnie, w mojej ostatniej książce, poświęconej echem ludobójstwa w literaturze polskiej. W jej rozdziale dotyczącym masakry w Srebrenicy analizuję diariuszowe zapiski Herlinga, których tematem są wojny w byłej Jugosławii, a także dwa związane z tymi zbrodniami opowiadania: *Błogosławiona, święta* i *Wędrowiec cmentarny*. Nie są to opowiadania udane. Herling-Grudziński jest pisarzem nierównym. W 1989 roku, gdy rozpoczynałem studia polonistyczne, po złagodzeniu, a następnie zniesieniu cenzury, stał się on – z pisarza zakazanego, znanego nielicznym – pisarzem głośnym, honorowanym, a nawet hołubionym. Jego utwory włączono do kanonu lektur szkolnych. Nie wyszło mu to na dobre. Nie cenię jego późnych opowiadań, nie przepadam za jego eseistyką dotyczącą malarstwa, zaś *Dziennik pisany nocą* mnie nudzi. Nie nudziłby mnie, gdybym go czytał w latach siedemdziesiątych lub na początku osiemdziesiątych, wtedy jednak czytałem głównie Juliusza Verne’a. Cenię natomiast *Inny świat*, niewątpliwie arcydzieło literatury obozowej, oraz opowiadania z wczesnego okresu twórczości, takie jak *Drugie Przyjście*, *Most*, *Gasnący Antychryst*, *Piętno* czy dylogia *Skrzydła ołtarza*. Moją uwagę przykuł ich uniwersalizm, najwyższej próby artyzm oraz problematyka, która – tak to przynajmniej odczuwałem, gdy podjąłem decyzję o poświęceniu im rozprawy doktorskiej – przywracała literaturze jej, zanikające w ponowoczesnym świecie, znaczenie. Wagę literatury jeszcze dobitnej uzmysłowiły mi późniejsze studia nad twórczością powstającą w obozach koncentracyjnych i gettach. Uprawianie jej w otchłani – pożyczam tę metaforę od Michała Borwicza – miewało, jak w przypadku Tadeusza Borowskiego czy Janki Heschels, moc ocalającą. W każdym razie ocaliła ona jej twórców. Od literatury mierzącej się z nicością trudno wymagać więcej. ☉